

Anna Piwkowska
PIĘKNO I PIEKŁO

OPOWIEŚĆ
O BEACIE
OBERTYŃSKIEJ



JUBILEUSZ
PAŃSTWOWEGO
INSTYTUTU
WYDAWNICZEGO
1946-2021

75



Bezimiennie piekło

Ssie nas północ powoli z tą rzeką,
jak bezkarna tu zbrodnia rozległa
BEATA OBERTYŃSKA, *Peczora*

Łagier Loch-Workuta ciągnie się wzdłuż urwiska nad rzeką. Rozrzucone szopy, baraki, pokryte darnią ziemianki obok płóciennych pałatek. Nad rzeką Ussą za kołem podbiegunowym. Jest lato 1941 roku, a tundra pełna jest jagód. Jednak tego dnia, gdy Beata Obertyńska niemal rok po aresztowaniu we Lwowie ledwo żywa dociera do obozu pracy w Workucie, zaczyna padać deszcz. Stoi bez ruchu, wychudzona łachmaniarka z turbanem z ręcznika na głowie. Ale twarz ma szlachetną, o charakterystycznych dla całej rodziny Wolskich kościach jarzmowych uwidaczniających wklęsłość policzków. Oczy inteligentne, przenikliwe, jak na tej fotografii, która pozostała w lwowskiej willi na rodzinnym Zaświeciu i przetrwała wojnę. W tamtej szczęśliwej

chwili obiektyw aparatu objął nie tylko Beatę z młodszą siostrą Lelą siedzące przy biurku, ale także wiszący na ścianie portret ich babki Wandy Młodnickiej z domu Monné, malowany przez Artura Grottgera. Babka, legendarna narzeczona młodo zmarłego malarza, była także pisarką, tłumaczką i rzeźbiarką. Artystka czuła na piękno potrafiła docenić wrażliwość swojej córki Maryli, a matki Beaty, i wychować ją na poetkę. Interesująco osobną nie tylko na tle młodopolskiej epoki; w swym późnym, wydanym w 1929 roku tomie *Dzbanek malin*, pomieści wiersze z kilku okresów, niezwykle dojrzałe i różnorodne stylistycznie. Poetką zostanie także wnuczka Wandy, Beata, a druga wnuczka Lela malarką.

Chociaż Wanda nosiła w sobie, podobnie jak później Beata, własne piekło, dla najbliższych była oparciem i opoką. Można powiedzieć, że nauczyła się z piekłem obchodzić, codziennie rozbrajać je jak wytrawny saper tykającą bombę. Tak też będzie żyła, już po wojnie, Beata Obertyńska, na emigracji, z dala od Polski i utraconego na zawsze Lwowa. Kiedy się aż tyle utraci, każda myśl, każde przypadkowe spotkanie i każde wspomnienie może wywołać wybuch tęsknoty i żalu. Nawet głupi, zielony guzik znaleziony w szufladzie wśród przypadkowo ocalałych drobiazgów. Nie nostalgii, tylko rzeki żalu, która może zmieścić wszystkie te materialne i niematerialne znaki nowego istnienia, które trzeba chronić, aby z trudem odbudować życie. Pozwolić mu na nowy bieg. Obertyńska widziała rzekę Peczorę, Uszę, Amu-darię i wie, czym może być nieposkromiony żywioł wody. A że jest poetką, więc specjalistką od metafor, woli być z tym metaforycznym żywiołem ostrożna. Dlatego Beata będzie wyważona w słowach, a w poezji nielirycznie powściągliwa. Ta powściągliwość nada jej wierszom pisanym po wojnie wyjątkowy, wytrawny smak. Lwów stanie się nie tyle kresem iluzji, bo dla Beaty iluzją nie był, ile raczej powracającym snem o utraconym

mieście dzieciństwa, młodości i dojrzałości. Snem nie zawsze łatwym. Ale jednak śnionym.

Na zaświeckiej fotografii babka z nadzieją patrzy z wysokości portretu na dwie młode kobiety, swoje ukochane wnuczki. Na sfotografowanym portrecie jest nieco od nich młodsza i wszystkie trzy na zdjęciu są piękne, utalentowane i ciągle jeszcze szczęśliwe. Beata ma lat dwadzieścia osiem, Lela zaś dwadzieścia pięć. Babka na portrecie jest ciągle jeszcze, ale także tylko, młodą narzeczoną Grottgera. Siedemnastoletnią. Czas w tej opowieści będzie miał znaczenie, ale spróbuję się dogadać z tym mitologicznym bogiem poruszającym koło zodiaku, który wszystko widzi, ujawnia i wyrównuje, aby przymknął swe wieczne oko na chronologię. W ten sposób chwilami będziemy mogli ujrzeć siedemnastoletnią babkę i jej czterdziestoletnią wnuczkę obok siebie, jakby zamienione rolami. Choć oczywiście każdej będzie przypisany jej niezmienny, bo już zamknięty przez Chronosa, los.

Tak więc na portrecie babka ma lat siedemnaście i nie wie jeszcze, że za rok pojedzie do Francji, do małej wioski w Pirenejach, aby przywieźć w trumnie do Lwowa ciało ukochanego. Beata na fotografii także nie wie, że za trzynaście lat zostanie aresztowana i wywieziona do Loch-Workuty. Teraz, w Loch-Workucie, Obertyńska ma czterdzieści dwa lata i bardziej twarde spojrzenie niż na fotografii sprzed lat.

O czym może myśleć znużona, chora katorżniczka, stojąc przed kancelarią obozu w stłoczonej ludzkiej ciżbie? Tundra znika w tumanie mgły, siąpiący początkowo kapuśniaczek zamienia się w strugi deszczu, siecze twarze trzystu pięćdziesięciu kobiet, które, śmiertelnie zmęczone, próbują siadać na swoich podróжных workach. Nie wolno. „*Dawaj... padnimajsia!*” słyszy poetka Beata Obertyńska w znienawidzonym języku. Ten język oprawców nigdy potem już nie będzie dla niej językiem

Puszkina, Tołstoja, Achmatowej. I nic nie chce wiedzieć o tym, że ta ostatnia jest także poetką, i że napisała te słowa: „Mnie jak rzecze, surowa epoka zmieniła bieg. Życie mi podmieniono”. Nie chce wiedzieć, choć jak tamta ma swoją rzekę, w której przejrzał się zmieniony bieg jej życia. Nazywa się Peczora. I tak jak Achmatowa opisze rzekę Kamę, tak Obertyńska opisze swoją rzekę:

Ssie nas północ powoli z tą rzeką,
jak bezkarna tu zbrodnia rozległą,
przelewając podstępnie dalekość
w zaumarłe, bezimienne piekło.

[...]

Tajgą z brzegów opłynięte obu,
zapatrzone w północ jak w upiora,
pełnie z nami pochyłością globu
śmiercią spławne rzeczysko – Peczora.

Peczora

Nie wiadomo, czy Obertyńska zapisywała swoje wiersze w czasie potwornej podróży bydłęcymi wagonami na wschód. Musiałyby mieć na czym. Ale poeta zawsze ma na czym zapisać. Jeżeli nie na skrawku bibułki, to w poruszeniach warg. Wiersze zapamiętane potrafią odnaleźć się, przypomnieć dużo później.

„Żyjemy w epoce przedguttenbergowskiej” mawiała Achmatowa, paląc zaraz po przeczytaniu nad płomieniem świecy swoje *Requiem*, poemat opisujący potworności epoki Wielkiego Terroru. Pisała, jak mówił Brodski, już tylko po to, aby mowa nie zamieniła się w wycie. Gdy popiół ze spopielałych strof stygł, liczyła na pamięć – swoją i garstki słuchających. Z tych



...obiektyw aparatu objął nie tylko Beatę z młodszą siostrą Lelą siedzące przy biurku, ale także wiszący na ścianie portret ich babki Wandy Młodnickiej z domu Monné, malowany przez Artura Grottgera.

Lwowska willa na rodzinnym Zaświeciu.

samych powodów, jak wspomni Nadieżda Mandelsztam w *Nadziei w beznadziei*, bez przerwy na zesłaniu w Woroneżu poruszały się wargi Mandelsztama. Te poruszające się wargi były jak palce flecisty. Dopiero później wiersz był zapamiętywany i zapisywany. Czy wargi Beaty Obertyńskiej też się poruszały w rytm stukotu kół pociągu pędzącego przez tajgę? Być może. Niektóre wersy z pewnością wtedy właśnie do niej przyszły. Jak te przywołane bezkresem niekończącej się tajgi.

Tajga... Wilgocią obrzękły mech
i krzaki uklękle w moczarze...
Nie wiem, za jaką karę i grzech
Bóg im tu rosnać każe.

Nie wiem, pod wagą jakich win
ci ludzie zmięci i szarzy,
znad smugi świeżo kładzionych szyn
nie wznoszą ziemistych twarzy...

[...]

Tajga... Jak w bagnie gnijący trup.
Głusza na wieki wieków.
Otchłań, gdzie zda się – nawet Bóg
zapomniał o człowieku.

Tajga

Teraz jednak stoi przed kancelarią i myśli o cmentarzu, który zobaczyła kilka godzin temu. A właściwie nie zobaczyła. Wiedziała tylko, że tam jest. Przed wejściem do obozu – cmentarz Polaków. Położony już poza zoną. Nieoznaczony ani tablicami, ani kopczykami. Wzrok Beaty daremnie przesuwają się

po kępach borówek i wrzosów. Gładka, obojętna tundra i tylko ludzie mówią, że są tu pochowane ciała tych, którzy już nie wrócą. A może właśnie tylko oni wrócą, pomyśli Obertyńska, bo tylko ten, kto umrze, może wyrwać się z tego przeklętego kraju, przekroczyć jego granice. Zapamięta ten cmentarz i napisze o pochowanych tam ludziach w swoich wspomnieniach *W domu niewoli*, które – cudownie ocalona – zacznie spisywać w Palestynie w roku 1942, potem w Południowej Afryce w Johannesburgu, a dokończy w Londynie. Książka zostanie wydana we Włoszech w 1946. Najwcześniejsze świadectwo tych, którzy wyszli z Rosji i spisywali wspomnienia. Będzie to jedno z pierwszych epitafiów dla bezimiennych:

Wsiąkli w ten bezmiar bezlitosny, pochłonęło ich płowe, szorstkowie morze, zwarła się nad nimi bezszelestna skorupa tej przyziemnej, północnej roślinności i nie odszuka ich tu już nigdy nikt, chyba wielka, wszechmocna sprawiedliwość Boża, która – z jej tylko wiadomych powodów – nie runęła dotąd ogniem i siarką na ten przeklęty, po trzykroć przeklęty kraj!*

Tymczasem, po dwóch godzinach przed kancelarią, głodne i ledwo żywe, te trzysta pięćdziesiąt kobiet zostanie skierowanych do obory. Tam będą mogły odpocząć, rozłożyć swoje worki na mokrych materacach rzuconych wzdłuż żłobów. I po dwóch godzinach szczęście: kilka łyków gorącego mleka nalanego we własny – Beaty – kubek. I łyż. Bo zapach słodkiego mleka, niespodziewanie, wbrew woli, przypomni dom i dzieciństwo. I przypłylnie pytanie: „Czy możliwe, aby tamto najszcześniejsze dziecko świata, fuczające ufnie w znajomy garnuszek z obrazkiem, i ta świerzbowata łachmaniarka pod biegunem – to była jedna i ta sama osoba?”.

* Źródła wszystkich cytatów podane są na s. 351.

Tak samo jak Beata Obertyńska zapyta Anna Achmatowa w swym wierszu o carskosielskiej grzesznicy:

Gdyby ktoś Ci pokazał tak skorej
do radości, przez wszystkich lubianej,
carskosielskiej grzesznicy przekornej
co się kiedyś z Twym życiem stanie.
Jak trzechsetna, z paczką więzienną
będziesz stała u Krestów mrocznych
i gorącą łzą bezpromienną
przepalała lód noworoczny...
Tam topola więzienna się chwieje,
Cisza wokół, a ileż to tam,
razem z życiem umiera nadziei...
[BEZ TYTUŁU]

Łagry Stalina, ten wielki archipelag GUŁag, unicestwiły miliony istnień ludzkich albo przynajmniej zmieniły bieg ich życia, często to życie złamały, przeorały psychikę. Mandelsztam, umierający na tyfus w baraku w obozie Druga Rzeczka pod Władystokiem, pochowany w bezimiennym grobie. Córka Cwietajewej, ukochana Ariadna, wzięta z domu w letniej czerwonej sukience i sandałkach, młoda i zakochana. Syn Achmatowej, Lew, który spędzi w obozach osiemnaście lat i powróci z chorą duszą. I miliony innych, chociaż każdy ma swoją własną, jedyną, niepowtarzalną historię. Własną łagrową opowieść. Łagiernik Aleksander Sołżenicyn szacował, że od początku rewolucji do 1956 roku w obozach uśmiercono ponad sześćdziesiąt milionów obywateli Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. A inne nacje? Na przykład Polacy? Około dwóch milionów Polaków wywiezionych w głąb Rosji, jak chcą historycy? Więcej? Mniej? Tego już chyba nigdy nie da się ustalić.

Przedstawicielka innej nacji, nacji poetów – Beata Ober-tyńska – kładzie się tymczasem ze zmęczenia na wzgórku nad urwiskiem. I nagle czuje zapach rumianków. Otwiera oczy i widzi całe pole rumianków. I chociaż nie chce sobie niczego wyobrazić, nie chce wspominać, bo to za bardzo boli i robi się jeszcze trudniej, jednak przez mgnienie oka, krótką chwilę, wyda jej się, że leży na spadzistych łąkach pod Hrobaniem. Na tych łąkach, które tak samo jak tutaj, w Loch-Workucie, kwitną w lipcu, a w dole szumi rzeka – zielony Opór. I na chwilę powraca „mimo wojny, bomb, Stalina, Hitlera, świata zanurzonego po serce we krwi” na spadziste łąki pod Hrobaniem, do ukochanego domu na Storożce, gdzie się urodziła.

